

\* \* \*

Tymczasem Wojtek czekał na Mikołaja na widowni muzealnego kina i znudzony spoglądał na ekran, gdzie jak zwykle leciała kronika. Jakiś powstaniec ściągnął koszulę przez głowę, zdjął spodnie i skoczył na główkę do betonowego zbiornika z wodą. Za jego przykładem poszli następni. Kroniki z tamtych lat odtwarzane są zawsze w przyspieszonym tempie, więc skoki powstańców wyglądały jak gra w pchełki: koszula, spodnie, chlup do wody; koszula, spodnie, chlup do wody. „Po zdobyciu budynku Prudentialu i Poczty Głównej na placu Napoleona chwila odpoczynku”, komentował lektor. Wojtek wzruszył ramionami i poprawił słuchawki ipoda w uszach.

I w tym momencie na ekranie, w samym rogu kadru, pojawiło się dwóch chłopców, z których niższy miał na sobie bufiaste spodnie do kolan, a wyższy... dziwnie znajomą bluzę z napisem „CALIFORNIA BEACH GUARD”. Chłopak stroił głupie miny. Wojtek przyjrzał mu się uważniej i ze zdumienia poderwał się na równe nogi, bo... bo to był... Mikołaj! Kamera minęła chłopców, omiotła ogarniętą euforią plac i wiwatujących ludzi. Na ekranie pojawił się wysoki budynek i powiewająca na dachu biało-czerwona flaga. Nastąpił kolejny najazd na kąpiących się powstańców i w rogu kadru znów pojawili się ci sami chłopcy. Wojtek wytrzeszczał z niedowierzaniem oczy. To do gnojka podobne, pomyślał, wpakował się na jakiś plan filmowy. Ale przecież to autentyczna kronika, widział ją niejedną raz! Co

jest? W tej samej chwili chłopcy puścili się biegiem i zniknęli z obrazu.

Wojtek przecisnął się do końca rzędu pomiędzy siedzącymi ludźmi i instynktownie ruszył do podziemi. Gdzie on jest? Przeskakując po dwa stopnie, zbiegł po schodach. Gwałtownym ruchem odsunął kotarę, która zasłaniała wejście, skręcił w lewo i stanął przed repliką kanału. Wiedział, że to jedno z ulubionych miejsc Mikołaja. Co mu strzeliło do głowy? Rozzłoszczony Wojtek wsunął głowę w ciemny otwór. Poczul się dziwnie, kiedy przypomniał sobie natarczywe pytania brata.

– Wyłaź! – zawołał półgłosem, podejrzewając Mikołaja o jakiś idiotyczny dowcip, ale odpowiedziała mu cisza.

Wojtek zrobił kilka kroków w głąb.

– Wychodź! – syknął. – Natychmiast!

Nikt nie odpowiedział. W kanale panowały nieprzeniknione ciemności, a pod nogami zachlupotały mu ścieki. Wojtek wyjął z kieszeni zapalniczkę, zapalił ją i trzymając przed sobą, zrobił kilka kroków wzdłuż ściany. W miarę jak nowe trampki Nike'a nasiąkały mu śmierdzącą mazią, narastała w nim wściekłość. Będzie musiał mi je odkupić, pomyślał i wzdrygnął się, kiedy poczuł, że trampki przemieęły i cuchnąca ciecz przelewa mu się między palcami. Nagle puknął się w czoło, zatrzymał i sięgnął do kieszeni spodni. Wyciągnął komórkę i wybrał numer Mikołaja.

Zadzwoił piętnaście razy i piętnaście razy usłyszał wesoły głos brata: „Mikołaj nie może znaleźć telefonu. Zadzwoń

później?”. Już nic głupszego nie mógł nagrać, zdenerwował się Wojtek. Kopnął w ścianę, śmierdząca maź chlapnęła mu na ubranie i na twarz. Przeklinając, ruszył w głąb kanału.

Tuż przed nim z mroku wyłoniły się sylwetki ludzi poruszających się bezszelestnie i w całkowitej ciemności. Wojtek rozpląszczył się na wilgotnej, pokrytej szlamem ścianie, żeby zejść im z drogi. W świetle zapalniczki mignęły białoczerwone opaski. Ci ludzie nie wyglądali na odwiedzających muzeum, raczej na aktorów ze starego filmu albo jakiejś rekonstrukcji historycznej.

– Zgaś to! – rzucił jeden z nich, wskazując na zapalniczkę. – Guza szukasz?

– Nie, brata – odpowiedział Wojtek. – Ale na jedno wychodzi.

Wyteżył wzrok, żeby zobaczyć, czy nie ma między nimi Mikołaja, ale nie było. Kiedy go minęli, ruszył powoli dalej i wkrótce znalazł się pod włazem z żelazną drabinką. Wspiął się po stopniach, wypchnął pokrywę i ostrożnie wystawił głowę. Spojrzał i osłupiał. Przed sobą miał dalszy ciąg kroniki, którą przed chwilą oglądał w muzealnym kinie. W betonowym basenie pluskali się półnaczy mężczyźni. Wokół biegali ogarnięci euforią ludzie, u wylotu placu po prawej stronie wznosił się drapacz chmur, z którego powiewała białoczerwona flaga, a po lewej stało rozległe gmazysko. Tylko Mikołaja nigdzie nie było widać. Wojtek podciągnął się i wylądował na chodniku, kompletnie zdezorientowany. Zdecydowanie nie lubił takich sytuacji.

– *Ha-alt!* – usłyszał za plecami stanowczy dziewczęcy głos.

Obrócił się zaskoczony. Przed nim w dwuszeregu zatrzymało się sześciu facetów w poszarpanych mundurach. Myny mieli nietęgę, ręce trzymali w górze. Niezłe jak na statystów, stwierdził Wojtek, bo wyglądali na autentycznie przestraszonych. Prowadziła ich szczupła dziewczyna z karabinem. Niezła, pomyślał Wojtek.

– Zapomniałem roli. – Rozłożył ręce. – Nie wiedziałem, że to dziś. – Wykrzywił się w uśmiechu i cofnął, robiąc przejście. Jednocześnie przyłożył dwa palce, salutując do odkrytej głowy, żeby nie popsuć ujęcia.

– *Geradeaus!* – krzyknęła dziewczyna, posyłając mu pogardliwe spojrzenie i dziwaczna grupa minęła Wojtka.

Patrzył za nimi zdezorientowany. Gdzie kamery, operatorzy, reżyser? Rozejrzał się po ulicy i przy betonowym basenie zauważył ekipę filmową. Zbierali się już. Chowali kamery, pakowali taśmy. Ale graty, pomyślał Wojtek i nagle uderzyło go to, że filmowcy pasowali jak uląg do otoczenia. Jak powiedziałaaby jego pani od polskiego: „wyglądali jak z epoki”. I wtedy po raz pierwszy przemknęło mu przez głowę, że wszystko dookoła to nie inscenizacja powstania i nie plan filmowy. Że to sierpień 1944!

Bzdura, wzruszył ramionami. Nie ma wehikułów czasu, powrotów do przeszłości, takie rzeczy dzieją się tylko w filmach i książkach. Znajdę Mikołaja, skopię mu tyłek, wracamy do muzeum, a stamtąd do domu. Po chwili namysłu

zmienił kolejność: znajdę Mikołaja, wrócimy do domu i dopiero wtedy go zleję. Nie zamierzał w tym dziwnym miejscu zostawać dłużej, niż było to konieczne.

Przez plac wracała właśnie dziewczyna z karabinem, który Wojtek przed chwilą wziął za atrapę. Szła w jego kierunku, ale tym razem sama. Ładna była: szczupła, wysoka, czarnowłosa. Wojtek, zapominając o Mikołaju, znowu przystawił dwa palce do skroni. Ale ona minęła go bez słowa, tylko jej czarne loki, spięte w koński ogon, zakłósały się gniewnie. Karabin, przewieszony przez ramię, również.

– To – zawołał Wojtek, żeby ją zatrzymać – Prudential?

– Opuść łapę – odpowiedziała, nie odwracając się.

Jej głos zabrzmiał rozkazująco i Wojtek posłusznie opuścił salutującą dłoń. Dziewczyna podeszła do niego. Patrząc na nią, poczuł się idiotycznie. Jasne, że to był Prudential, prawdziwy, nie żadna dekoracja, a to gmaszysko obok to budynek Poczty Głównej. Przecież słyszał, co mówił lektor w kronice. Z budynku drapacza chmur wybiegali zaafetowani chłopcy z biało-czerwonymi opaskami, wyprowadzano też kolejnych przestraszonych jeńców. Ona też, jeszcze przed chwilą, prowadziła jeńców, a nie żadnych statystów. Jasna cholera, zaklął w duchu Wojtek, kiedy dotarło do niego, że trafił do powstania. Z wrażenia zrobiło mu się gorąco. Nie miał pojęcia, jak to było możliwe, ale jednego był pewny: Mikołaj maczał w tym palce!

Po pierwszej fali oszołomienia poczuł, jak ogarnia go zgroza. Niezależnie od tego, jak głęboko Wojtek wciskał sobie słuchawki ipoda do uszu podczas obchodów rocznicy wybuchu powstania, wiedział, jak się zakończyło. Porażką, przegraną, klęską, pogromem. Ludność cywilna zdziesiątkowana, powstańcy pokonani, miasto zrównane z ziemią. Rozejrzał się po ogarniętej euforią ulicy i nogi się pod nim ugięły. Nie dlatego, że się przestraszył, że podzieli los tych ludzi, bo to nie przyszło mu do głowy. Nie dlatego, że bał się o Mikołaja, bo na razie był na niego głównie zły. Nagle uświadomił sobie, że trafił do miasta żywych trupów. Otaaczających go ludzi zaraz rozszarpia kule lub przysypie gruz. Większość z nich nie przeżyje następnych kilku tygodni. Zatrzymał wzrok na stojącej przed nim dziewczynie. Ona również nie miała żadnych szans.

– W porządku? – odezwała się trochę łagodniej, bo patrzył na nią, jakby zobaczył zjawę.

Ten wystraszony chłopak przypominał jej Tadka, sąsiada z Wawra, choć tamten był rudy, a on – ciemny blondyn. Ostatnie spotkanie z Tadkiem zapamiętała dobrze, choć starała się nie wracać myślami do tamtego dnia.